



zygmunt
| Miłoszewski
domofon

Artur Baniewicz Góra Trzech Szkieletów

Artur Baniewicz Drzymalski przeciw
Rzeczpospolitej

Anna Bojarska List otwarty do królowej
Wiktorii

Anna Bojarska Ja

Anna Bojarska Bóg pali cygara

Anna Bolecka Concerto d'amore

Max Cegielski Apokalipso

Mariusz Cieślak Śmieszni kochankowie

Witold Horwath Seans

Grażyna Jagielska Korespondent

Marek Kochan Ballada o dobrym dresiarzu

Krystyna Kofta Krótka historia Iwony Tramp

Marek Ławrynowicz Pogoda dla wszystkich

Tomasz Mirkowicz Pielgrzymka do Ziemi
Świętej Egiptu

Hanna Samson Pułapka na motyla

Jerzy Sosnowski Apokryf Agłai

Jerzy Sosnowski Linia nocna

Marcin Wolski Alterland

Marcin Wolski Ekspiacja

Piotr Zaremba Plama na suficie



zygmunt
| Miłoszewski
domofon

Prolog

Później, kiedy wszystko dobiegło końca, policja, biegli psychiatry i dziennikarze uznali wydarzenia, które miały miejsce w naszym domu, za wynik zbiorowej hysterii. Czym była spowodowana – nigdy nie wyjaśniono. Z tego, co mi wiadomo, nawet nie próbowano.

Każde inne wytłumaczenie było albo zbyt przerażające, albo zbyt fantastyczne, żeby wziąć je na serio. Zastanawiałem się, czy w rozwiązaniu zagadki nie pomogłyby moje kasety. Ale nie. Dla kogoś z zewnątrz byłyby one ciągiem bełkotliwych rozmów prowadzonych przez domofon, składających się w większości ze zwrotów typu „To ja”, „Kochanie, otwórz”, „Mówiłaś: chleb, papierosy i co?” i „Czy mogę się pobawić jeszcze pół godziny?” Wnikliwy obserwator zauważyłby pewnie, że z biegiem lat potrzeba było coraz mniej kaset na nagranie wydarzeń całego dnia, że coraz mniej ludzi przychodziło w odwiedziny, a lakoniczne prośby o otwarcie drzwi stały się jeszcze bardziej lakoniczne.

Ale wnikliwego obserwatora, w tym wypadku raczej słuchacza, nie było.

Ktoś mógłby zapytać, jakie mam prawo opowiadać historię bloku i jego mieszkańców. Czy wolno mi opo-

wiadać ją w ten sposób? Czy wiem o nich aż tyle? Ktoś, kto zadałby takie pytanie, rozbawiłby mnie do łez. Ponieważ wiem o nich więcej, znacznie więcej, niż oni kiedykolwiek będą wiedzieli sami o sobie.

Powinienem napisać: wszystko zaczęło się dawno temu, ale to nonsens. Pogubiłbym się we własnych wspomnieniach, chcąc przedstawić minione lata. Dlatego piszę: wszystko zaczęło się w piątek, 11 października 2002 roku, kiedy do naszego bloku przyjechali z Olecka młodzi Łazarkowie.

Rozdział 1

Lepiej uważaj. Anuszka już rozlała olej.

Warszawa, Praga Północ. Napis na barierce przystanku tramwajowego na rogu ul. Inżynierskiej i 11 Listopada.

1.

To nie był idealny dzień na rozpoczęcie nowego życia. Coś było nie tak. Na początku myślał, że to przez drogę. Piękna przed południem pogoda teraz zrobiła się paskudna i typowo październikowa, ruch był większy niż zwykle. Żałował, że zdecydowali o rozpoczęciu przeprowadzki w piątek. Gdyby zrobili wszystko w sobotę i niedzielę, byłoby znacznie łatwiej. Przede wszystkim nie musiałby walczyć z tirami na mokrej drodze. Szlag by to trafił.

A może chodziło o coś więcej niż jazdę w złych warunkach? Za Pułtuskim, kiedy mijał tablicę „Warszawa 59”, poczuł, jak coś ugniata mu klatkę piersiową. Przez moment nie mógł złapać oddechu i o mało nie wpadł w panikę. Uspokoił się, wciągając powietrze z cichym świstem. Co jest grane, powtarzał w myślach, co jest grane? Pewnie po prostu jestem zmęczony. Jak to się będzie powtarzać, będę musiał iść do lekarza. Co za pech,

opuszczam koszmary rodzinny dom, jadę z ukochaną kobietą do nowego mieszkania, zaczynam nowe wspaniałe życie i nie mogę zaczerpnąć oddechu. Coś chyba rzeczywiście jest nie tak.

- Halo, halo! Ziemia wzywa Roberta! Bzzz, bzzzz, słyszycie nas?

- Co? Przepraszam, zamyśliłem się, mówiłaś coś?

Agnieszka była za to wesoła jak dziecko na szkolnej wycieczce. Ręce założyła za głowę, ściskając nimi króciutki koński ogon, stopy oparła o przednią szybę starej mazdy, którą pieszczotliwie zwali „mazdolotem”. Wcześniej włożyła do magnetofonu ulubioną składankę radosnych kawalków z lat osiemdziesiątych i teraz kiwała dużymi palcami u nóg w rytm *I will survive*. Wyglądała bardzo, bardzo sexy. Robert poczuł przyjemne mrowienie w dole brzucha.

- Tak, mówiłam. Mówiłam, że jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Co ty na to?

- Ja na to OK. To znaczy, że już jest nas dwoje. Jak znajdziemy jakiegoś szczęśliwego autostopowicza, to go skasujemy na wpisowe do klubu. - Zawahał się i dodał:

- Też się cieszę, że zostawiam za sobą to bagno.

Chyba nadużywał tego słowa, opisując swoje bezgrzeszne lata.

- Nawet nie chodzi mi o to, co zostawiamy - Agnieszka nie zamierzała zrezygnować z optymistycznego tonu.

- Cieszę się z tego, co jest przed nami. Mieszkanie, praca, nowi przyjaciele, sąsiedzi, imprezy, kina, kawiarnie. Mówię ci: będzie super!

Przeciagneła się, odsłaniając pępek, i Robertowi przeszło przez głowę, żeby zjechać na pobocze. Poba-

raszkować w samochodzie? W sumie czemu nie. Nigdy przedtem tego nie robili. Zrezygnował, ponieważ nie chciał, aby go wyśmiała. To głupie, skarcił się w myślach, na pewno by tego nie zrobiła. Najwyżej by powiedziała, żeby się stuknął w głowę, jechał dalej i zaczął do wieczora, kiedy wynagrodzi mu w trójnasób jego fantazje.

Nie odezwał się, Agnieszka za to kontynuowała radosny monolog.

- Będę kończyła pracę, szła na piechotę do Nowego Świata, tam piła kawę i czekała na ciebie. Wiesz, mam blisko, bo biuro jest na Kruczej. Ty będziesz kończył trochę później...

- Co będę kończył, pracę? - przerwał jej, przelączając wycieraczki na wyższy bieg. - Najpierw ją muszę znaleźć.

- No, nie gadaj, przecież masz robotę - spojrzała na niego zdziwiona.

- Robotę? Masz na myśli to, co załatwił twój stary? Przedstawiciel handlowy w firmie produkującej wiertarki? Nie żartuj, to dobre na przeczekanie, żeby nie głodować. Tak naprawdę dopiero będę szukał pracy. Nie sądzę, żebym na początku miał czas na kawę. - Wszystko to powiedział trochę za ostro i teraz żałował. Co mu, do jasnej cholery, szkodziło uśmiechać się i snuć fantazje o wspólnym wieczorze. Zachował się jak dupek. To, że on ma problem (ma?), bo tyle dostali od jej rodziców, to jeszcze nie powód.

Spojrzał na nią z nadzieją, że nie zauważyła jego tonu i tego, co się za nim kryje. Patrzyła za okno na zalane deszczem pola.

W końcu przerwała milczenie.

- Wiesz, chyba nie jest aż tak źle. To duża firma, daje jakieś możliwości awansu, zrobienia kariery. Tam też pewnie się można jakoś ustawić, trochę zarobić i wtedy spróbować poszukać czegoś innego. Myślisz, że ja po studiowałam, żeby przez całe życie parzyć komuś kawę? To tylko początek. Za kilka lat będziemy się śmiać i wspominać nasze pierwsze stanowiska.

Robert przelknął rosnącą mu w ustach złośliwą uwagę o jakości wyższego wykształcenia wyniesionego z Wszechnicy Mazurskiej, ich oleckiej Alma Mater, i powiedział:

- Przy kominku w naszym domku w Bieszczadach?

- Tak, przy kominku w naszym domku w Bieszczadach - odwróciła się do niego i uśmiechnęła promiennie, a on odwzajemnił uśmiech. To było ich marzenie, odkąd się znali: kominek w domku w Bieszczadach. A jednocześnie kod, który mówił: OK, przepraszam, czasami jest źle, czasami powiemy coś głupiego, ale łączy nas więcej.

Przed Serockiem znowu trafili na wielką ciężarówkę - tym razem przewożącą jogurty. Robert wiedział, że jeśli jej nie wyprzedzi, będzie się za nią włókł przez całe miasto i potem jeszcze kilkanaście kilometrów, zanim rozładuje się korek. Zamrugał oczami. Była najgorsza godzina do jazdy. Dochodziła piąta, zapadał zmierzch, jadące sznureczkiem z przeciwka samochody oślepiły światłami, poboczami ciągnęli jeszcze piesi i rowerzyści, białoruskie ciężarówki miały chyba jakiś zlot. W końcu znalazł lukę, wyskoczył z wypełnionych wodą kolein i przejechał na lewy pas.

Przyśpieszył.

Wyrzucane spod kół wyprzedzanego tira wodospady runęły na szybę, chodzące na najwyższym biegu wycieraczki stały się bezużytecznymi gadżetami.

Przyśpieszył.

Był w połowie wyprzedzanego osiemnastokółowca, kiedy zobaczył, że zza górki wyłania się furgonetka. Robert był już za daleko, żeby zwolnić i schować się za ciężarówkę, musiał zaryzykować. Zredukował bieg, wcisnął do oporu pedał gazu i pochylił się nad kierownicą. Widział kątem oka, jak Agnieszka wyprostowała się i złapała za uchwyt na drzwiach. Spokojnie, uda się, zawsze się przecież udaje, pomyślał. Jadący z naprzeciwka samochód zatrafił i zamrugał długimi światłami. Dzielilo ich około pięćdziesięciu metrów. Jemu zostały jeszcze zaledwie dwa do początku kabiny ciężarówki. Minąwszy ją, wyskoczył zbyt gwałtownie z kolein, czuł, jak ocieżyła zwykle mazda tańczy i traci na dobre kontakt z szosą.

Do jadącego z naprzeciwka samochodu zostało kilka metrów.

Desperacko docisnął gaz, mając nadzieję, że koła złapią przyczepność, i skręcił kierownicę. Nadsterowny mazdolat zarzucił jeszcze lekko tyłem i wskoczył w koleiny przed tirem tylko po to, żeby jadąc prawie sto pięćdziesiąt na godzinę, znaleźć się tuż za prawie nieoświetlonym małym fiatem.

Agnieszka krzyknęła i skuliła się na fotelu, zderzenie było tak pewne, jakby przed nimi jechał nie mały fiat, lecz stał ceglany mur. Mogli albo walnąć w malucha i mieć nadzieję, że uderzenie wyrzuci ich na pobocze – gdyby zostali na drodze, zmiażdżyłaby ich cudem wyprzedzona ciężarówka lub jadący z naprzeciwka. Mogli

też uciec na drugi pas, uderzając czołowo w dostawczaka. Wszystko trwało ułamek sekundy i Robert nie rozważał tych ponurych możliwości. Instynktownie zjechał na prawo, próbując ominąć „malca” od pobocza.

Rosnące w szpalerze drzewa śmignęły tuż obok twarzy Agnieszki, koła zabuksowały po mokrym żwirze, tył samochodu zaczął się zsuwać w kierunku drzew, Robert rozpaczliwie skręcił kierownicą, odpuścił i dodał gazu. Maluch tylko mignął z lewej strony, teraz trzeba było wrócić w swoje koleiny. Pomógł im przypadek. Trafili na zatoczkę autobusową przy przystanku PKS-u, gdzie prawe opony złapały przyczepność na tyle, że udało się zaparkować nad samochodem, po raz kolejny w ciągu sekundy, i wskoczyć w koleiny.

Nic nie mówili. Siedzieli nieruchomo, nie patrząc na siebie. Dobrze wiedzieli, jak blisko było tego, żeby ich podróż zakończyła się, zanim na dobre rozpoczęła. Zakończyła się nieodwołalnie.

- Może się zatrzymamy? - zapytała cicho.

- Nigdy. Chybabym się rozplakał, widząc, jak mijają mnie wszyscy, których wyprzedziłem. Zatrzymamy się już w Warszawie.

- W makdonaldzie?

Zaśmiał się głośno. Nawet u nich w Olecku, głębokiej Polsce B, chodzenie do makdonalda to był obciach. Chodzić do makdonalda to jak ćwiczyć na siłowni albo wydawać całą kaskę na nowe dresy czy przyciemnianie szyb do poloneza. Wiedzieli o tym, lecz lubili to miejsce, zwłaszcza Robert. Wiem, wiem, powtarzał, w bułce jest papier, w kotlecie psia kupa, a całość to zestalony w rakotwórczy pocisk glutaminian sodu. Ale i tak mi smakuje.

Dlatego czasami w tajemnicy przed znajomymi wyprawiali się do najbliższego baru McDonald's w Suwałkach na kanapkę i frytki, czyniąc z tego rytuał, hamburgerowe bachanalia. Teraz, w anonimowej metropolii, mogli w świetle reflektorów urządzić sobie prawdziwą ucztę.

- Jasne - odpowiedział.

Zbliżali się do mostu nad Zalewem Zegrzyńskim.

2.

Jesteś dupkiem. Jesteś śmieciem w krawacie, amebą ludzką, pieprzoną dziurą w kociej dupie, cwelem swojej korporacji, myślał Wiktor o facecie siedzącym po drugiej stronie biurka, uśmiechając się grzecznie, potakując i starając się zrobić jak najlepsze wrażenie na kimś, od kogo zależała jego przyszłość.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - kontynuował śmieć.
- Jeszcze pięć lat temu poświęciłbym pół pensji (akurat!) i cały swój czas, żeby przekonać szefów o konieczności zatrudnienia pana. A teraz? Dlaczego miałbym pana zatrudnić, proszę mi to powiedzieć, proszę mnie przekonać - dziura w kociej dupie uśmiechnęła się z zawodowym smutkiem i złożyła zadbane dłonie w wieżyczkę.

Wiktor zauważył, że najmniejszy pulchny paluszek jest zdobny w sygnet z logo firmy. Milczał przez chwilę i zastanawiał się, jak zacząć, żeby zabrzmiało to wiarygodnie, pewnie i profesjonalnie. Czuł swój pot, który pachniał alkoholem, i zastanawiał się, czy pan Marek Koteczek, Human Resources Senior Manager, też to czuje.

- Nie ukrywam, że już wówczas (źle, źle! dlaczego nie powiedziałeś „zawsze”) myślałem o waszym wydawnic-

twie. Mimo sukcesów, które odnosiłem w dzienniku, szukałem dobrej pracy w dobrym miejscu, nawet za niewielkie pieniądze. Pracy, która dałaby mi możliwość ruszenia do przodu. A nie tylko ganiań sześć dni w tygodniu po czternaście godzin za sensacyjnymi wydarzeniami. Wy byliście idealni. Piękna tradycja, wydawane pisma, kolorowe, ale z górnej półki, zaplecze za granicą, doskonała opinia na rynku.

- I dlaczego pan nie przyszedł?

Pieprz się, kutasie. Na pewno nie będę o tym opowiadał.

- Tak się złożyło.

- Tak się złożyło, że najpierw pan przepadł na rok, a potem znalazł się już na dnie, jako alkoholik? – senior Koteczek mówił to z autentycznym smutkiem, co widać było jego specjalnością. Zapewne zwalniani pracownicy opuszczali ten pokój ze łzami w oczach, żałując, że sprawili szefowi ból.

Wiktor poczuł, że musi wyjść jak najszybciej. Wiedział, że nie będzie łatwo, ale nie przypuszczał, że ta głupia rozmowa zamieni się w upokarzającą psychoterapię. „Głupio mi o tym mówić, doktorze, ale piłem, a wcześniej podglądałem swoją matkę i zakładałem jej rajstopy. Tak się wstydę”. Spokojnie, powtarzał w myślach, tylko spokojnie, robi to specjalnie, żeby cię wyprowadzić z równowagi, chce sprawdzić, jak reagujesz na stres. Wyluzuj, chłopie, uśmiechnij się, pokaż, jaki jesteś opanowany.

- Widzę, że zna pan mój życiorys nie tylko z tego, co napisałem w CV – czuł, jak wymuszony uśmiech rozdziera mu twarz. – Stare dzieje. Każdemu zdarzają się gorsze chwile, tym gorsze, z im wyższego konia się spada.

- Jasne - odparł senior i westchnął ze smutkiem. Zerknął do papierów leżących na biurku. - Przed trzydziestką zyskał pan sławę reportera sądowego, potem święcił pan pasmo triumfów. Zgadza się?

- Tak jakby.

- Opowie mi pan o tamtej sprawie?

Jasne, chłopie, zaspokoję twoją drobnomieszcząską ciekawość, choć nie ma to nic wspólnego z rozmową o pracy. Jak każdy, masz nadzieję, że opowiem ci jakieś makabryczne szczegóły, których nigdy nie opisałem. Szczegóły, o których będziesz mógł myśleć wieczorem.

- Bardzo chętnie, choć nie sądzę, żeby dowiedział się pan czegoś nowego. Jeszcze przed moim, nazwijmy to, odkryciem był to najgłośniejszy proces tamtych lat. Trójka nastolatków, w tym jedna dziewczyna. Zostali oskarżeni o porwanie, gwałt (o, ale ci oczka błysnęły), torturowanie i usiłowanie zabójstwa szesnastolatki. Miała na imię Honorata. Daruję panu opis tego, co widziałem... w aktach, ale potraktowano ją jak rzecz. Za zrobienie tego psu powinno się iść siedzieć na wiele lat.

- O ile dobrze pamiętam, była niema? Wie pan, jak ją znaleźli. To z powodu szoku?

- Nie, wyrwano jej język. Mogę zapalić?

- Przykro mi, u nas w firmie się nie pali. Jesteśmy z tego bardzo dumni.

Wiktor mimo to wyciągnął paczkę lucky strike'ów z kieszeni koszuli i wyjął papierosa. Obracając go w palcach, zastanawiał się, co jeszcze może powiedzieć amebie. Z jednej strony, pewnie i tak nie dostanie tej roboty, chyba nawet nie chce, a mówienie o tamtej sprawie nie było dla niego żadną frajdą. Z drugiej, ciągle jest szansa,

że ten zadbany, doskonale ostrzyżony i wymodelowany na siłowni przydupas wysłucha historii i wykrzyknie: „Takiego człowieka szukaliśmy! Pójdź w me ramiona, Wiktorze!” A jeśli tak wykrzyknie, to on będzie miał kasę. A jak będzie miał kasę, przestanie żyć jak zwierzę. Prosty rachunek.

– To był proces wybitnie poszlakowy – ciągnął. – Już samo wskazanie sprawców było problematyczne. Dziewczynie pokazywano katalogi ze zdjęciami ludzi, którymi „interesuje się policja”. Na widok jednego zareagowała tak histerycznie, że zorganizowano okazanie. Wie pan, jak to wygląda: pięciu mniej więcej podobnych facetów stoi obok siebie, a pokrzywdzona osoba pokazuje na jednego z nich. No więc jak ustawiono tych ludzi i przyprowadzono dziewczynę, od razu wskazała jednego. Przyłgnęła do szyby naprzeciw niego i zaczęła wyc tak, że musiano sprowadzić pomoc.

– I co w tym problematycznego?

– To, że na okazaniu rozpoznała innego człowieka niż wcześniej na zdjęciu.

Wiktor złamał papierosa, wrzucił do kosza na śmieci i wyjął następnego. Delikatnie masował bibułkę, chcąc równo rozprowadzić tytoń. Bezsensowna mechaniczna czynność, pomyślał. I tak nie zapalę. Kiedy nabrałem tego idiotycznego zwyczaju? Chyba właśnie w sądach. Paweł z „Gazety” zawsze nerwowo męczył papierosa, a ja robiłem wtedy to samo co on. Kiedy rozpoczęcie rozprawy odwlekało się o dwie godziny, a przerwa zmieniała się z piętnastominutowej w godzinną, schodziliśmy na dół do bufetu, na jajko w sosie tatarskim i papierosa. Jednego, drugiego, dziesiątego. Paliliśmy i gadaliśmy, gada-

liśmy i paliliśmy. To był fajny czas. Boże drogi, ile to już lat. Wiktor zauważył, że prawie cały papieros wysypał się na biurko cwela swojej korporacji. Facet patrzył na tytoń jak na zarazki trądu rozsmarowane na kanapce.

- Z tego, co pamiętam, tutaj wchodzi pan na scenę i zaczyna recytować swoją kwestię?

Ale z ciebie poeta, psiamać, z takimi porównaniami marnujesz się jako kadrowy.

- Ładnie powiedziane. Największym problemem w tej sprawie było to, że nikt nie wiedział, gdzie dziewczynę przetrzymywano. Na pewno nie w żadnym z mieszkań oskarżonej trójki, w żadnym lokalu znanym im, ich kumpłom, rodzinie, dalekim krewnym i tak dalej.

Wyjął następnego papierosa.

- Coś mnie tknęło jednego dnia, to już było lato, kiedy rozprawa zakończyła się trochę wcześniej. Prawdę mówiąc, nie chciało mi się już opisywać kolejnego bełkotliwego bieglego, wszyscy i tak mówili wprost, że całe oskarżenie to fiasko. Pojechałem do Śródmieścia i wałęsałem się po kwadracie ulic przy placu Konstytucji. Tam mieszkali wszyscy oskarżeni, a także świadkowie. Jeśli ci ludzie byli związani ze sprawą, w co coraz mniej wierzyłem, wszystko musiało rozegrać się gdzieś tutaj.

Wiktor przerwał.

- Wie pan co? Pan sobie zapali, tylko niech pan stanie przy oknie.

No proszę, przerwę jeszcze raz i dasz mi nie tylko pracę, ale i podwyżkę.

- Nie, dziękuję - westchnął, spojrzął na papierosa, na wypełniającą zaokienną rzeczywistość szarą mgłę, potem

na leżącą przed nim wizytówkę bubka. Była bardzo ładna, starannie wykonana.

Nie dam rady, pomyślał, bezwiednie kręcąc głową, zależy mi na tej pracy, zależy mi na jakiegokolwiek pracy, byle polegała na pisaniu, ale nie dam rady.

– Panie kierowniku... – zaczął.

– Panie Marku – przerwał pan kierownik. – Panie Marku najzupełniej wystarczy.

– Nie wiem, dlaczego pan chce, żebym to opowiadał. Cała historia ze szczegółami była opisana chyba wszędzie, a dla mnie, przyznam się panu, wspomnianie tego jest bardzo trudne. Wolalbym tego nie robić, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Senior Marek milczał, a Wiktor wiedział, że właśnie teraz ważą się jego losy. To niemożliwe, że jego życie zależy od tego obcego faceta. Zadowolonego z siebie bogatego bubka, który pewnie gra w squasha, pieprzy swoją – wyglądającą jak Miss Świata – żonę w stringach i odbiera genetycznie udane dzieci ze szkoły społecznej. Co on może wiedzieć o tym, jak się spada, spada i spada. Tak długo, że przestaje się wierzyć już nie tylko w to, że można wspiąć się w górę, ale nawet w to, że w ogóle istnieje jakieś dno. W końcu człowiek przestaje czekać na uderzenie i godzi się z tym, że istnieje tylko spадanie, a jedyne urozmaicenie polega na tym, że czarne ściany studni stają się czasami szare, czasami tak cienkie, że widać poza nimi ruch i kolor. Ale to się zdarza bardzo rzadko. Prawie wcale. Trudno. Może po prostu tamtemu się udało, a jemu nie.

Jeszcze zanim Senior Manager się odezwał, Wiktor już wiedział, jaka będzie decyzja.

- Chce pan u nas pisać reportaże, teksty społeczne. To wymaga wrażliwości, a jednocześnie dystansu. Trzeba umieć wejść w historię, przejąć się nią, a potem – pstryknąć palcami – wyjść, stanąć z boku i opisać tak, żeby wstrząsnęło innymi. Sprawdzam, czy pan to potrafi.

Wiktor odpowiedział tylko dlatego, że nie chciał wyjść bez słowa.

- Ciekawe. A ja myślałem, że pana podnieca to, co moja opowieść mogłaby panu zaoferować. Połączenie seksu, gwałtu, przemocy, może nawet bestialstwa, i na dodatek wszystko autentyczne, niemal z pierwszej ręki. A pan mnie po prostu sprawdza.

- Niepotrzebnie stara się pan być złośliwy. Jest mi szalenie przykro, tym bardziej że pańskie teksty były dla mnie kiedyś bardzo ważne, ale widzę, że pan nie potrafi tego, na czym mi, nam, naszej firmie najbardziej zależy. I proszę to potraktować jako przyjacielską radę, jest pan niepotrzebnie agresywny, co nie pomaga w takich rozmowach. Do widzenia.

Spierdalaj.

Wiktor wstał, nie zadając sobie trudu, by uprzątnąć biurko z drobin tytoniu, wyszedł. Nie myślał już ani o seniorze Koteczku, ani o Honoracie, ani o tym, co kiedyś przeżył. Myślał o tym, że zaraz się zacznie i że musi jak najszybciej dotrzeć do Amatorskiej.

3.

Znalezienie miejsca przed Carrefourem koło Trasy Toruńskiej zajęło Robertowi i Agnieszce kwadrans, potem musieli biec w strugach deszczu z najodleglejszego krańca parkingu do wejścia. Tyle poświęcenia dla takiego

gównianego żarcia, myślał Robert. Co za ironia, żeby świątynia konsumpcji wymuszała na swoich wiernych prawdziwie eremickie umartwienia.

Zamówił kanapkę z rybą, której Agnieszka nie cierpiała i którą zawsze nazywała makgówniakiem (potem ci przez tydzień jedzie z pyska, marudziła), i oglądał zdobiące ściany reprodukcje nowoczesnego malarstwa.

- Zwykle są zdjęcia - wymamrotał z pełnymi ustami.

- Co?

- No wiesz, zwykle wiszą zdjęcia Empire State Building, Golden Gate czy jakiś inny Elvis. Nie wiedzieć czemu zazwyczaj czarno-białe. A tutaj są obrazy, pierwszy raz się z tym spotykam.

- I co o nich sądzisz?

- Sądzę, że są gówniane. Jedyne, co je łączy ze sztuką, to to, że są prostokątne, oprawione w ramy, a w środku jest coś kolorowego. Ale to samo można powiedzieć o billboardzie reklamującym promocję T-shirtów czy tablicy informującej o budowie murowanego kibla. Choć to jest nawet gorsze. Billboard i tablica mają treść, coś komunikują. A to? Żadnej treści, żadnej formy, pustka.

- Przesadzasz. Po prostu nic w tym nie widzisz, a inni może dostrzegają.

- Ale to ich sprawa, nie sztuki. Nie odbierają komunikatu artysty, tylko coś tam sobie roją. Ci sami ludzie, gdyby im pokazać taką tablicę informacyjną, tyle że napisaną w suahili, znaleźliby tam obraz świata. Niesamowite, w jaki sposób można przedstawić chaos, mówiliby, za pomocą tych nierównych znaków, a jednocześnie porządek, transcendentny zamysł zorganizowania chaosu, nadania mu ulotnych ram. No i to żółte tło! Rewelacja.

Kto wie, może by nawet cmokali, jak to piszą w powieściach. Widziałaś kiedyś, żeby ktoś cmokał z zachwytu? Jak to może brzmieć? – Upił łyk coli i wydał ustami odgłos wilgotnego plaśnięcia. Siedzący obok poruszyli się zaniepokojeni. Robert cmoknął jeszcze głośniej i pstryknął palcami.

– Przestań! Co za wariat. Jeszcze ktoś zawoła ochronę. Cmokać należy dyskretnie i z uznaniem – powiedziała i cmoknęła delikatnie w jego kierunku w sposób, który czynił z niej lubieżną boginię seksu. Jej wargi, a miała dość duże wargi, może nawet trochę za duże, ale Robertowi to się podobało, ułożyły się w kształt serduszka. Jak na filmie rysunkowym.

– Taaa..., rób tak dalej, to się będą na ciebie rzucali w każdej galerii. – Robert znowu poczuł mrowienie. Co za dzień.

– Będę tak robiła tylko na twoich wernisażach i kiedy będziemy sami, i tylko kiedy będę pewna, że to ty się na mnie rzucisz.

Robert spał się. Wiedział z doświadczenia, że rozmowy o jego malowaniu, o planach z tym związanych, zawsze się źle kończyły. Ona traktowała je jako nieszkodliwe hobby, coś w rodzaju zbierania znaczków czy starych opakowań po herbacie, a dla niego malowanie było (prawie) wszystkim. Czymś ważniejszym nawet od niej, czego ona na pewno nigdy nie zrozumie. Czymś, czym można się zająć albo na dobre, albo wcale. Jeśli chce się to robić dobrze. Poprawka: jeśli chce się to robić prawdziwie. Już chciał zacząć dyskusję, która skończyłaby się pewnie długim milczeniem i cholernymi łzami, pieprzonym orężem, o który rozbijał się każdy wystrzelony z jego strony pocisk, ale dał spokój.